

Marcin Fijołek: Poruszająca relacja zza kulis polityki Merkel wobec imigrantów

Powiedzieć o tej publikacji, że to interesujący reportaż – to nic nie powiedzieć. Napisać, że to skrupulatna i przenikliwa relacja (dzień po dniu) z tego, jak funkcjonowała niemiecka kuchnia polityczna wobec napływu imigrantów – to tylko otrzeć się o istotę problemu. Książka Robina Alexandra to wciągający thriller polityczny, odsłaniający kulisy (czasem mroczne, czasem banalne) polityki Berlina. Polityki, która na długo, jeśli nie na zawsze zmieni oblicze Europy – pisze Marcin Fijołek na łamach portalu wPolityce.pl

Mowa o książce „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu” niemieckiego dziennikarza „Die Welt” – publikacji, która dzięki wysiłkowi „Teologii Politycznej” wkrótce trafi w polskim tłumaczeniu do księgarń w naszym kraju [recenzja pisana przed wydaniem książki – red.]

Alexander nie jest przeciwnikiem przyjmowania imigrantów (nie mówiąc o uchodźcach), co czyni jego relację jeszcze bardziej prawdziwą i poruszającą. Dzięki obserwacjom z bliska Angeli Merkel i jej najbliższego otoczenia politycznego, czytelnik dostają niezwykle precyzyjnie skonstruowany obraz mechanizmów na szczytach niemieckiej władzy.

Co wyłania się z tej opowieści? Jakie najważniejsze wnioski możemy wyciągnąć? Tak naprawdę po lekturze książki Alexandra wypadłoby napisać kilka artykułów, na potrzeby tej recenzji spróbujmy skupić się na kilku najciekawszych, najbardziej istotnych wątkach i fragmentach. Po pierwsze – lektura tego reportażu przynosi dość zaskakującą odpowiedź na pytanie, dlaczego Niemcy w połowie września zdecydowały się otworzyć granice. Otworzyć – mimo negatywnego nastawienia niemal wszystkich uczestników politycznej gry w Berlinie.

Jak pisze Alexander, opierając się zresztą o bardzo wiarygodne relacje, dokumenty i konkretne deklaracje, 13 września wszystko było przygotowane, by powiedzieć „stop”, zamknąć granicę, prześwietlać dokumenty przybywających przybyszów, sprawdzać ich przeszłość i wiarygodność. Przed niemiecką kanclerz stała trudna decyzja, ale wsparta analizami niemieckich służb, funkcjonariuszy policji, ministra spraw wewnętrznych i wielu analityków.

„Gdy mówi się o uchodźcach, jedni chwalą Merkel za heroiczną decyzję wpuszczenia uciekinierów, a drudzy oskarżają ją o perfidny, diabelski plan, zarzucają jej, że chce wymienić naród na inny, zislamizować go. Merkel przedstawiana jest albo jak święta, albo jak diabeł wcielony” – powiedział Alexander w rozmowie z PAP.

Z lektury reportażu wynika, że żaden z tych scenariuszy nie jest prawdziwy. Zacytujmy autora:

W rzeczywistości nie zapadła żadna decyzja, ani o otwarciu, ani o zamknięciu, ponieważ w chwili, gdy granica miała zostać zamknięta, szef MSW Thomas de Maiziere nie odważył się tego zrobić. Zadzwoił do Merkel, a ona nie powiedziała ani tak, ani nie. Pytała, czy zamknięcie jest z prawnego punktu widzenia w porządku i czy media nie będą krytykować. A on (de Maiziere) nie mógł tego zagwarantować. W decydującym momencie doszło do braku decyzji, do zaniechania. Merkel nie jest ani Matką Teresą, ani demonem.

To szokujące, ale z relacji niemieckiego dziennikarza wynika, że historyczna decyzja, być może kształtująca na długie lata to, co się dzieje z Europą, została podjęta... przypadkiem. Górę wziął brak zdecydowania, a nie konkretny i precyzyjny plan. Emocje, a nie chłodna analiza rzeczywistości. Kalkulacja pt. „Jak wypadnę w mediach”, a nie troska o przyszłe pokolenia. Poniżej fragment książki:

Tak więc w ten weekend niemiecka granica pozostaje otwarta dla wszystkich. „Wyjątkowe” otwarcie granicy skutkuje trwającym miesiącami stanem wyjątkowym, bo nikt nie ma mocy politycznej, aby wyjątkowy epizod planowo zamknąć. Granica pozostaje otwarta nie dlatego, że świadomie tak postanowiła Angela Merkel lub ktoś inny w rządzie. W decydującej chwili nie znalazł się nikt, kto wziąłby na siebie odpowiedzialność za zamknięcie granicy.

To nie jest teza sprowadzona z kosmosu, ale oparta o bardzo szczegółowe relacje, dzień po dniu, o cytaty ministrów i polityków, o po prostu niezwykle wiarygodne drobiazgi, które dają nam efekt całości.

To tym bardziej zaskakujące, jeśli spojrzeć na wizerunek Angeli Merkel, która często jest przedstawiana w mediach (także polskich) jako polityk, która ma wszystko pod kontrolą i kieruje się wyłącznie niemieckimi interesami. Nie tym razem. Kanclerz stanęła przed problemem, który po prostu ją przerósł.

To szokujące, ale z relacji niemieckiego dziennikarza wynika, że historyczna decyzja, być może kształtująca na długie lata to, co się dzieje z Europą, została podjęta... przypadkiem

Zabrakło jej odwagi, politycznej determinacji, odpowiedzialności. Bezwład zadecydował o polityce Berlina. Tak przynajmniej twierdzi Alexander. Co w zasadzie jest

chyba jeszcze bardziej poruszające niż świadomość, że Merkel realizuje plan - może jakiś niepewny, ale jednak plan. Dziennikarz przekonuje i udowadnia, że było inaczej. Dzięki lekturze książki niemieckiego dziennikarza upada zresztą wiele innych mitów. Jak choćby ten, że od początku do końca kanclerz Merkel kierowała się imperatywem moralnym, jakąś chrześcijańską intuicją, że potrzebującym trzeba pomagać - nawet kosztem własnego bezpieczeństwa. Alexander przywołuje interesujące spotkanie w jednym z niemieckich kościołów, gdzie Merkel spotkała się z wyborcami, parafianami, obywatelami. I to w szczycie emocji:

Ani słowa o uchodźcach, gdy Merkel przemawia o chrześcijańskiej polityce w swoim rodzinnym zborze. Parafianie się dziwią. Podczas dyskusji zatem pytają. Jeden chce wiedzieć, czy konieczne jest

wydalanie rodzin, które naprawdę są dobrze zintegrowane. Merkel odpowiada bez wahania, a te jednoznaczne słowa godne są uwagi w kontekście polityki wobec uchodźców z jesieni 2015 roku. Deportacja do bezpiecznych krajów pochodzenia wydaje się „na pierwszy rzut oka niechrześcijańska, lecz być może jeszcze mniej po chrześcijańsku jest przyjmować zbyt wielu i nie mieć miejsca dla tych, którzy naprawdę są prześladowani”. Tego, co później przypisywać się będzie Merkel jako motyw polityki otwartych granic, jej wypowiedź w Templinie nie pozwala uzasadnić przede wszystkim chrześcijańską miłością bliźniego.

Inny z mitów, z jakim nawet najbardziej zagorzali zwolennicy politycy migracyjnej „otwartych drzwi” muszą się zmierzyć podczas lektury książki, dotyczy problemu rzeczywistych uchodźców. Ludzie zmierzający do Europy to w olbrzymiej części po prostu ci, którzy szukają lepszego życia. Rzadko uciekają przed wojną. Raczej chcą szybko żyć tak, jak Niemcy - bogato, dostatnie i godnie. Alexander przypomina szereg wypowiedzi najważniejszych polityków europejskich.

Nie tylko Europejczycy nie chcą relokować uchodźców. Sami uchodźcy nie chcą być relokowani. Wcale nie chcą do Słowenii, Hiszpanii i Polski. Chcą do Niemiec. „Wszyscy uchodźcy w Grecji mówią: Germany, Germany, Germany” – przyznaje bez owijania w bawełnę przewodniczący KE Juncker w przemówieniu w marcu 2016 roku: „Rząd luksemburski polecił ogłosić w Grecji, że trzydziścioro uchodźców może przybyć do Luksemburga. Żaden nie chciał. Rząd luksemburski szukał z lupą tych trzydziestu gotowych wsiąść do samolotu, zupełnie, jak gdyby Luksemburg był najbiedniejszym zakątkiem Europy”.

Niemcy słyną nie tylko z solidnego rynku pracy i wysokich świadczeń socjalnych. Krąży też fama, że nawet otrzymawszy odmowę azylu można w tym kraju długo pozostawać, a nawet być tolerowanym bez ograniczeń czasowych. Wielu uchodźców chce się połączyć z krewnymi, którzy już trafili do Niemiec. Dochodzą sceny kultury gościnności, selfie z Merkel i stąd siła przyciągająca, autentyczny mit. W ten sposób rozmieszczenie uchodźców w całej Unii nigdy nie zostaje uruchomione. Kiedy pół roku później znajduje się nowe rozwiązanie w związku z dealem unijnym, spośród 160 tysięcy ludzi przesiedleniu podlega tysiąc pięćset, niecały procent.

Lektura książki Alexandra to również bogato uargumentowana relacja z tego, jak zmienia się nastawienie Niemców do samego procesu przyjmowania imigrantów. Początkowo mieszkańcy Berlina, Monachium reagują odruchem serca: witają przybyszów na dworcach, częstują ich posiłkami, przynoszą wodę. Z czasem nastawienie się zmienia. Raz - z powodu zderzenia z rzeczywistością, która weryfikuje ich wyobrażenia o imigrantach, którzy ubogacą niemieckie życie. Dwa - z powodu olbrzymich trudności związanych z próbą „zainstalowania” imigrantów w niemieckich instytucjach. Oddajmy głos autorowi i zacytujmy fragment książki:

Podczas gdy kanclerz szybuje wśród bogatych, pięknych i dobrych, jej rodacy przeżywają coraz większe wątpliwości. Na dwa dni przed laudacją od jordańskiej królowej Merkel musiała nasłuchać się tylu krytyk w kraju, jak jeszcze nigdy w politycznej karierze. Wszyscy premierzy landów, jak ich jest szesnastu, przybyli do urzędu kanclerskiego w celu rozliczenia z dotychczasową polityką wobec

uchodźców. Niezależnie od tego, czy mówca był krajowym szefem SPD, czy regionalnym baronem CDU, wszyscy skarżyli się na katastrofalnie zorganizowane przyjęcie i rozmieszczenie uchodźców. Zielony premier Badenii-Wirtembergii Winfried Kretschmann wypowiadał się w tonie bardzo podobnym, co bawarski kolega z CSU Horst Seehofer.

To skandal, że na szczeblu federalnym nie poradzono sobie z koordynacją pierwszego etapu absorpcji przybyszów – wołał jeden z nich. Gdy federalny minister spraw wewnętrznych de Maizière nieśmiało zaproponował osiem rządowych nieruchomości, w których dałoby się zakwaterować uchodźców, Hannelore Kraft z SPD nie dała mu nawet skończyć: Trzy z nich już dawno są zajęte!

I jeszcze jeden:

Minister spraw wewnętrznych de Maizière w „heute journal” oburza się na zachowanie uchodźców: „Wychodzą z ośrodków. Zamawiają sobie taksówkę, mają – o dziwo – dość pieniędzy, żeby jeździć setki kilometrów po Niemczech. Strajkują, kiedy im się nie podoba miejsce pobytu. Złoszczą się, bo jechanie nie takie. Biją się w ośrodkach dla azylantów. To jest na razie mniejszość, ale musimy jasno powiedzieć: [...] Domagamy się kultury w gościnie!”

Na konferencjach regionalnych CDU, na których niedawno urządzano Merkel owacje, wita ją teraz masowa niechęć. Tylko jedna trzecia lokalnych funkcjonariuszy partyjnych, którzy stanowią większość audytoriów, zdaje się słuchać przewodniczącej z mniejszym lub większym przekonaniem. Podobna część utrzymuje chłodny dystans, a

reszta jawnie się buntuje. Przede wszystkim we wschodnich Niemczech Merkel już ledwo co przebija się z argumentami we własnej partii. Trzydziestu czterech przewodniczących rad powiatowych, burmistrzów i deputowanych do parlamentów krajowych w dramatycznym liście wypowiada jej posłuszeństwo. Ich zdaniem polityka otwartych granic stoi w sprzeczności ze słusnością, prawem i programem CDU. Według CSU zagrożona jest wspólnota demokratyczna: „W Berlinie nie ma żadnego planu. Nie ma dnia, żebyśmy wiedzieli, co nas czeka jutro. System doznaje zapaści” – prorokuje Seehofer i dodaje: „Tego żadne społeczeństwo nie wytrzyma na dłuższą metę”.

I jeszcze jedna historia opowiedziana przez Alexandra w książce:

Landrat Peter Dreier spotkał się z Merkel już w dzień otwarcia granic, gdy odwiedzała szkołę w Buch koło Erlbach. Półtora miesiąca później lokalny polityk reprezentujący Wolnych Wyborców pisze do niej list, w którym definiuje własny „pułap”, pułap cierpliwości: „Jeśli Niemcy przyjmą milion uchodźców, arytmetycznie na mój powiat przypadnie ich tysiąc ośmiuset. Tych jeszcze przyjmę, ale następnych odeślę autokarem do urzędu kanclerskiego w Berlinie”. Na takie dictum Merkel oddzwania do niego osobiście 28 października. Rozmowa trwa tak długo, że musi poczekać nawet airbus wypełniony ministrami, prezesami spółek, figurami z aparatu władzy i reporterami. W końcu Merkel poleci z nimi do Chin. Ale landrat z miasta Landshut tak łatwo jej nie wypuszcza. Doradza jej przez telefon: „Niech pani zrobi jak Franz Beckenbauer, niech pani po prostu przyzna się do błędu”. Ale Merkel odpowiada, że ona przecież pracuje nad europejskim rozwiązaniem, tylko potrzebuje jeszcze czasu. Landrat ostrzega: „Ulokowaliśmy tak wielu uchodźców, że ludność jest u kresu wytrzymałości. Pokój wewnętrzny jest u nas zagrożony!”.

I jeszcze jedna:

Horst Seehofer jest tak spięty, że w czasie przemówienia robi mu się słabo. I rzuca w twarz Merkel niczym zdrajczyni narodu: „Ludność nie chce, żeby tu był jakiś inny kraj”. Nawet we własnym gabinecie wypowiadają jej posłuszeństwo. Minister komunikacji z CSU Alexander Dobrindt żąda od Merkel, by wreszcie uznała realia i podjęła przygotowania o zamknięcia granicy. Dobrindt przy tym otwarcie kwestionuje jej kompetencję określania kierunków polityki rządu i otwarcie grozi odejściem, ale Merkel nie potrzebuje męczennika. Przy kolejnym piwie po pierwszym dniu obrad deputowani do landtagu poirytowani rozmawiają o uporze kanclerz. Życzliwy Merkel uczestnik przerażony donosi do Berlina, że panuje „nastrój pogromu”.

Wszystkie te relacje są poruszające, ale skłaniają również do refleksji, zakładając polskie tło problemu. Bo przecież zgoda rządu Ewy Kopacz na przyjęcie imigrantów (na początek kilka-kilkanaście tysięcy, ale wszyscy wiemy, że była to tylko furtka do dalszych ruchów) wywołałaby podobne problemy i nad Wisłą. Oczywiście - nie na tą skalę (przynajmniej nie na początku), ale istota problemu pozostaje podobna: czy polskie służby, instytucje publiczne, samorządy poradziłyby sobie z takim problemem?

Skoro nawet Niemcy, uformowani przez lata i pracujący w instytucjach nakręconych zegarki rozkładali bezradnie ręce. Teresa Piotrowska i kierowane przez nią MSW podołałyby sprawniej, skuteczniej? Śmiem wątpić. O skali problemu byli przekonani również Niemcy; eksperci,

Alexander przywołuje relacje niemieckich wieloletnich policjantów, którzy alarmowali panią kanclerz, przekonując, że da się kontrolować napływ imigrantów, a nawet przeciwstawić temu zagadnieniu

funkcjonariusze, analitycy bezpieczeństwa. Alexander przywołuje relacje niemieckich wieloletnich policjantów, którzy alarmowali panią kanclerz, przekonując, że da się kontrolować napływ imigrantów, a nawet

przeciwstawić temu zagadnieniu. Jako przykład podaje się między innymi Polskę.

No właśnie, skoro o Polsce o mowa. Książka niemieckiego dziennikarza zawiera skromny polski wątek, ale niezwykle istotny w kontekście naszej wiedzy o poprzednim rządzie. Alexander opisuje, jak Angela Merkel szkicowała próbę wymuszenia na pozostałych krajach Unii Europejskiej zgody na przyjęcie mechanizmu relokacji imigrantów.

Odnotujmy:

Czy można zmusić jakieś państwo wbrew jego woli do tego, aby wprowadzało we własne społeczeństwo ludzi z innego regionu świata, innej kultury i religii? Ta kwestia wyjaśnia się 22 września na kolejnym posiedzeniu ministrów spraw wewnętrznych UE.

Poprzedniego dnia Merkel rzuca jeszcze świecę dymną: „Decyzje UE podejmowane konsensualnie są dla Niemiec dużą wartością” – mówi w Berlinie z dobroduszną miną. W Brukseli wszakże de Maizière napiera i stara się zmiażdżyć krytyków większością. Tę większość trzeba zdobyć. Do tego służy procedura „konfesjonau”. Oznacza to, że każdy uczestnik posiedzenia musi się stawić sam u przewodniczącego, który poddaje go obróbce. Presja rośnie w ten sposób z godziny na godzinę. W końcu poddaje się polska minister Teresa Piotrowska, która studiowała teologię i jest na urzędzie od kilku tygodni. Akceptuje podział uchodźców. Wyrwanie Polski ze wschodnioeuropejskiego bloku sprzeciwu jest decydujące. Merkel ma bowiem tylko jedną, jedyną szansę na odpalenie bomby. Z powodu pewnej szczegółowej reguły wplecionej w skomplikowane traktaty europejskie do „opcji nuklearnej” trzeba nawet „potrójnej większości”: 50 proc. państw, 62 proc. ludności i dodatkowo 74 proc. ważnych głosów w Radzie Ministrów Unii.

Ponieważ w decydującym głosowaniu o relokacji uchodźców na „nie” głosują nie tylko Węgry, Czechy, Słowacja i Rumunia, lecz na dobitkę wstrzymuje się Finlandia, przy polskim sprzeciwie mniejszość blokująca byłaby możliwa albo nawet prawdopodobna.

Polski wkład w niemiecką politykę wywierania presji na pozostałe kraje UE był ogromny, być może nawet decydujący. Tymczasem minister Teresa Piotrowska zostaje złamana szybko, podczas spotkania w cztery oczy z ministrem spraw wewnętrznych Niemiec. Czy z takiego spotkania została sporządzona jakaś formalna notatka? Co proponował Piotrowskiej de Maziere? Na co się zgodziła i jakim kosztem? Jak wytłumaczyła to polskiej opinii publicznej? Nie wiemy, bo pani Piotrowska rzadko tłumaczyła swoje racje w tej sprawie.

Tak czy inaczej rządowi niemieckiemu udaje się w ten sposób wymusić start ogólnounijnego podziału uchodźców. Co z tego, że po paru miesiącach okaże się, że to martwe założenia, od początku nie do zrealizowania. Nowy polski rząd szybko i twardo dał to do zrozumienia elitom z Berlina i Brukseli. Pamiętny tekst Konrada Szymańskiego z naszego portalu odbił się wtedy echem w mediach całego świata - i trudno się dziwić, skoro był to jeden z pierwszych, jeśli nie pierwszy tak oficjalny klin wbijany w dotychczasową narrację Niemiec.

*Alexander krok po kroku
opisuje, jak w proch obracała
się iluzja o możliwości
stworzenia nowego
wspaniałego świata, z
otwartymi granicami i
imigrantami, którzy integrują
się w europejski system
wartości, cywilizacji, kultury*

Alexander krok po
kroku opisuje przy
tym, jak w proch
obracała się iluzja o
możliwości
stworzenia nowego
wspaniałego świata,
z otwartymi
granicami i
imigrantami, którzy
integrują się w
europejski system
wartości, cywilizacji,

kultury. Szybko okazało się, że weryfikacja imigrantów jest niemożliwa: i z technicznego, i z politycznego punktu widzenia. Jeszcze szybciej w proch obraca się naiwna (choć często szczerą) wiara w polityczny scenariusz, w którym można przyjąć „każdą liczbę” imigrantów, bez większych zmian i niepokojów.

Fragment:

Organizacja hotspotów unijnych w Grecji też jest sabotowana. W tych obozach uchodźcy mieliby się rejestrować i czekać na rozpatrzenie wniosków o azyl. Jeśli go otrzymają, powinni prosto stamtąd zostać odesłani samolotem do innego kraju unijnego. Tymczasem lokalna administracja na greckich wyspach podkopuje po cichu budowę hotspotów, bo chce jak najszybciej pozbyć się uchodźców. Władze tamtejsze ładują ich czym prędzej na prom i przewożą na stały ląd, gdzie już są podstawione autobusy, aby przewieźć ich na granicę macedońską. Na szlak bałkański wiodący do Niemiec.

Alexander kreśli opowieść, w której niemieckie elity polityczne – z Merkel na czele – zmieniają swoje nastawienie. Najpierw powoli zmieniają się akcenty, później coraz bardziej do głosu dopuszcza się krytykę, z czasem powszechne staje się przekonanie o konieczności kontrolowania procesu migracji. To stąd dojrzewanie do brudnego dealu z Turcją i Erdoganem. To stąd zmiana nastawienia także niemieckich mediów. To stąd coraz bardziej jednoznaczne wypowiedzi polityków UE (w tym Tuska), którzy po kilku tygodniach euforii i polityki „refugees welcome” zmieniają nastawienie i apelują, by do Europy nie przyjeżdżać. Wszystko to w książce Alexandra jest udokumentowane, przypieczętowane cytatami. Aż korci, by przypomnieć, jak bardzo wielka była agresja polityczna wymierzona w takich polityków jak Orban czy Kaczyński, którzy od początku mieli dość jasne stanowisko w tej sprawie. Może niepoprawnie politycznie, ale jednak - jasne. Stanowisko, które z czasem przebiło się do mainstreamu europejskiej rozmowy o problemie imigrantów.

Co dalej? Zdaniem Alexandra to tylko chwilowe wyciszenie problemu. Chwilowe, bo deal z Turcją jest kruchy, niepewny, ciągle uzależniony od wielu czynników ekonomicznych i politycznych.

Napływ uchodźców na razie ustał. Fala zgromadzona w pierwszej połowie roku 2015, która po otwarciu granicy i słynnych selfikach wezbrała jak nigdy do tej pory, w marcu 2016 roku rozprysnęła się. Czy dlatego, że ludzie zobaczyli, jak sen o Niemczech kończy się w błocie Idomeni? Czy dlatego, że lepiej o nich zadbano w obozach na Bliskim Wschodzie, między innymi dzięki niemieckim miliardom? Czy dlatego, że policja turecka ze strachu przed kompromitacją u natowskich sojuszników wreszcie pozamykała przemytników ludzi? Prawdopodobnie wpływ na osiągnięty efekt miało to wszystko.

Za puentę niech posłuży fragment felietonu Marka A. Cichockiego z poniedziałkowej „Rzeczpospolitej”.

Zainteresowanie w mediach wywołał ostatnio raport amerykańskiego instytutu PEW na temat migracji muzułmańskiej do Europy. Wynika z niego, że w 2050 r. muzułmanie będą stanowić ok. 20 proc. społeczeństwa francuskiego i niemieckiego. W Szwecji może to być nawet 30 proc. Gdyby do tego doszło, Europa Zachodnia byłaby kulturowo, religijnie i politycznie zupełnie inna. W tym kontekście nie sposób nie zapytać o cele i filozofię niemieckiej polityki w tej kwestii. Czy naprawdę Niemcy wierzą, że mogą stworzyć rodzaj wpływowego, cywilizowanego i mieszczańskiego islamu w swoim kraju i w Europie? I po co? Z badań PEW wynika, że w Europie Środkowo-Wschodniej do 2050 r.

liczba muzułmanów nie przekroczy 0,2 proc. To oznacza, że muzułmańska migracja do Europy może doprowadzić do cywilizacyjnej przepaści między zachodnią i wschodnią częścią kontynentu.

Wydana przez „Teologię Polityczną” książka to wyjątkowe świadectwo, skłaniające, zmuszające do głębokiej refleksji. Nie jest to prosta opowieść o demonicznej Merkel, która zarżnęła cywilizacyjną Europę, jaką znamy. W wielu miejscach Niemiec – jak udowadnia to Alexander – udało się przecież zmierzyć z problemem, zainstalować imigrantów i uchodźców, dać im choćby kruchy schron. Może nieco szkoda, że autor nie zmierzył się też z problemem zmian kulturowych, zagrożenia terrorystycznego (problem jest tylko lekko poruszony) czy porównania realnej pomocy dla przybyszów: tu, w Europie, z tą udzielaną na miejscu. To jednak zadanie dla innych badaczy i analityków. Siłą publikacji Alexandra jest właśnie suchy, niemal zimny reportaż z tego, co działo się za kulisami niemieckiej polityki. Wnioski każdy może sobie wyciągnąć sam. Lektura książki powinna być jednak przyczynkiem do głębszej dyskusji - również w polskim kontekście. Tym bardziej pilnej dyskusji, że problem z pewnością jeszcze powróci.

Marcin Fijołek

Artykuł ukazał się na portalu wPolityce.pl

Kup książkę „Angela Merkel i kryzys migracyjny. Dzień po dniu”